

przecież straszne, to wszystko, cośmy wszyscy przeżyli przez te kilka tygodni. Chwilami wydaje mi się snem tylko.

— Bo teraz musimy zapomnieć o tych nieszczęściach, dziecko drogie i żyć radosną chwilą obecną.

W tej chwili w drzwiach gabinetu stanął Cambaux, nie wiedząc o niczem. Zdumienie jego na widok Jeroma Versigny'ego było nie do opisanego. Stał minutę w milczeniu, nie mogąc słowa przemówić i patrzył rozszerzonymi oczyma na bankiera, jak gdyby ujrzał widmo.

— No i cóż, panie Cambaux, nie poznaje mnie pan? — zaśmiał się Versigny.

Pytanie to przywróciło mu przytomność umysłu. Powitał serdecznie nieoczekiwanego gościa, który raz jeszcze musiał powtórzyć swoje wyjaśnienia.

Cambaux słuchał uważnie, a kiedy Versigny przestał mówić, uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Domyślałem się, że tak będzie! — rzekł wyciągając z kieszeni numer „Daily Mail”. — Przeczytaj to, Bernac!

— Co to jest?

— To jest przedruk testamentu sir Archibalda Graves, który przedwcześniej otworzono w Londynie.

„Król dyamentów”, który hojnie uposażył swoich współpracowników i poważną sumę przeznaczył dla ubogich — prosił o przebaczenie wszystkich tych, którym kiedykolwiek wyrządził jaką krzywdę i błagał sukcesorów swoich, przyjaciół, a nawet służbę swoją o zadośćuczynienie według możliwości zła popełnionego.

— Temu testamentowi, ogłoszonemu przez wszystkie pisma światowe — rzekł Cambaux —

zawdzięczamy zapewne powrót pana, panie Versigny. Bob i Johmy Wills, natychmiast po zaznajomieniu się z pośmiertną wolą ich pana, postanowili wykonać ją i zwrócili panu wolność.

— Tak, to było powodem mojej wolności! — odparł Versigny — Wkońcu przyznać musimy, że ten Archibald Graves nie był jeszcze najgorszym człowiekiem.

— A teraz — zawołał wesoło Cambaux — pan stanie się „Królem Dyamentów”, panie Versigny.

— Kto to wie?

— Jak to? Kto to wie? Czyżby wynalazek Włodzimierza Guzowa nie przedstawiał żadnej wartości? Sądziłem dotąd przeciwnie i powątpiewanie pana zadziwia mnie?

Versigny uśmiechnął się i odparł, zwracając się do Bernaca:

— Powiedział mi pan przed chwilą, kochany przyjacielu, że ten Nataniel Bodminster zauważył niewytłumaczone zniknięcie tych trzech, ukrytych przez niego kamieni, które wykradł nieszczęśliwemu Guzowowi.

— Tak jest. Zniknęły rzeczywiście.

— Przypadek ten tłumaczę sobie jasno. Podczas mojego przymusowego więzienia czytałem dużo. W bibliotece sir Archibalda Graves znalazłem wiele dzieł, traktujących o chemii i składnikach brylantów. Zdaje mi się, że rozumiem teraz dobrze, co się stało z tymi kamieniami. Słyszał pan zapewne o procesie rozkładania się ciał. Bez żadnej przyczyny chemicznej składniki pewnych ciał zwartych, czy też gazowych, w pewnych niesprzyjających wa-

runkach — ulatniają się, zamieniając się w gazy i atomy nieuchwytnie.

Otóż przypuszczam, że brylanty nie zostały skradzione, lecz poprostu rozplynęły się w powietrzu. Tego nie mógł przewidzieć Włodzimierz Guzow. Wynalazł, co prawda, sposób fabrykowania dyamentów — ale dyamentów nietrwałych — rozumiecie?

— Pan może ma słuszość, panie Versigny — odparł po chwili namysłu Bernac — Zniknięcie kamieni wzięliśmy pod dobrą krytykę i nie znaleźliśmy żadnego motywu wyjaśniającego. Ten jest bardzo możliwy.

— Zbadamy tę rzecz dokładniej jeszcze — rzekł Cambaux, kiedy raz jeszcze przejrzymy zeszyt w szarej oprawie. Ale to wielka szkoda! Byłem tak głęboko przejęty tem kolosalnym odkryciem.

— A mnie jest to obojętne! — zawołała Michalina — My i bez tych dyamentów możemy być szczęśliwi — nieprawdaż, ojciec?

Versigny z rozczuleniem spojrzał w rozpromienioną radością twarz córki i odezwał się po chwili żartobliwie:

— Zdaje mi się, moja mała Michalino, że ty nie czekając na mnie, poszukałaś już szczęścia swojego. Jestem tu od godziny zaledwie, ale wyczułem już instynktem serca, że coś, czy ktoś odmienił mi bardzo moją córkę. Czy myślę się, panie Bernac?

Na to Bernac podszedł szybko do Versigny'ego i silnie uściśnął jego rękę. Michalina zaś nagle zmieszana, szybko wybiegła z pokoju.

K O N I E C.

JÓZEF LASOŃ.

## Przy kominku żołnierskim...

(Z cyklu: LEGIONY).

Kucharz ze „Schweiz” właśnie zakończył robienie mięsa na dzień jutrzejszy, zatłuszczając dokładnie wytartą w wióra, poczem wyciągnął się wygodnie na deskach, służących mu za łóżko. Jest to typ prawdziwego kucharza wojny: osmolony na ciele i ubraniu tłuszczami i sadzą, dymem nieustannym kuchni. Tłumaczy, że nie opłaca się co dzień myć, jedno, że o wodę trudno, trzeba kilka kilometrów do rzeki po nią jeździć — zatem szkoda ją bezużytecznie marnować — powtórę „kucharz musi być czarny” przy takiej robocie. Średniego wzrostu, krępy, czterdziestka co tylko minęła, o regularnych rysach twarzy, szklących piwnych oczach i sumiastych wąsiskach, czarnego koloru, zatem brunet — jednakże, dopiero po dokładnym wymyciu się, staje się blondynem. Niby kameleon — zmieniający barwę.

Natura chłopska, małowówna, zato przy wynętrzaniu się szczerą i snującą chłopską, zdrową filozofię myśli. Emigracja wypędziła go z ojczystrych stron — na długie lata tułaczki i pracy u obcych, wkońcu osiadł na stałe w Szwajcaryi, przylgnął i do stosunków tamtejszych i ziemi, stąd też każde porównanie o Polsce prowadzi, wskazując na „Schweiz”.

Gdy wojna wybuchła, rzucił „Schweiz”, zaciągnął się pod sztandary Legionu, bił się jako żołnierz, wkońcu od kilku miesięcy „berło” kuchmistrza zaczął dzierżyć. Stwierdzało mu tylko serce przy tej nowej misji, nie chce wydawać podwójnych porcy niektórym Legionistom, mającym wieczny apetyt na cudze porcy, no i wojnę, rzekłbym już, przesycony. Marzy o „Schweiz”, jak o obiecany raj, do którego po wszystkich niedolach żołnierskich popłył.

Nałożył fajkę tytoniem, z piecyka drewno jarzące się włożył i do skupionych koło ogniska Legionistów przemówił:

— Zeby to Polska taka była jak „Schweiz”.

Poruszyła go bowiem rozmowa kolegów, pół polityczna, pół tęskniaca do Wolnej Ojczyzny, byłby jednakże biernym świadkiem tej dyskusji pozostał, gdyby któryś z dyskutujących nie utknął na Szwajcaryi. Zatem poruszono mu struny chłopskiej duszy — zamierzony spoczynek odłożył. — Mówią o „Schweiz”, nie może pozostać bierny, musi o tej drugiej ojczyźnie choćby parę słów rzucić, bo on tam był i ukochał ten kraj.

— Inni tam ludzie, niż u nas w Polsce. Byłem u fabrykanta, to nieraz razem my przy stole siedzieli, rękę podał, nie wynosił się nad robotnikiem, nie pogardzał nim, tylko jak z równym sobie gadał. A w mieszkaniu naszym to córka właściciela fabryki sama porządki robiła i doglądała, czy czyści jest i nie potrzeba nam czego! A choć to bogaty pan był. Czteryście ludzi u niego pracowało! A u nas w Polsce co? Cholera!...

Ostatnie słowo, to ulubione kuchmistrza ze „Schweiz” wyrażenie, którego ciągle używał. Było to u niego, jakby szlacheckie „panie dzieju”, „panie święty”, „wasan”, „waćpan”. Ta „cholera” zjawiała się na ustach kucharza ze „Schweiz” dopiero podczas wojny, gdy złość go ogarniała poczęła, czy na los swój, czy na Ojczyznę, wreszcie na kolegów, którzy go rozgniewali, lub psotę mu wyrządzili.

Powoli wyraz ten przeszedł w nawyczkę i kończył zdanie wypowiedziane, jak w pacierzu „Amen”. „Schweiz” została poruszona, zatem kucharz zabrał głos, rozwodząc się nad ustrojem, demokracją społeczną, wychowaniem pokolenia, które od najmłodszych lat w strzelbę się wprawia, że mu nie dorówna najlepszy żołnierz Legionu, warunkami ekonomicznymi i t. d.

— Ludzie żyją w zgodzie, wolności nigdy nie tracą — puszczając kłęby dymu, rozwodzić się począł — i gdybyśmy tak umieli dzieci wychowywać i tak żyć w zgodzie, jużby dawno z Polski była „Schweiz”. A tak, co? Cholera!... Dość jest nas garstka tylko w szeregu, a i tak się zremy między sobą. I jakże może być „Schweiz”?... Cholera!...

Splunął na ziemię, krzywiąc usta, jakgdyby gorczy wstrętnego tytoniu, lub słów wypluł, które jeszcze palą usta, czy też serce.

— Ze tam jeden z drugim się pokłóci o byle głupstwo — zbijać poczęli wywody kuchmistrza — to jeszcze nic strasznego. Młodość i miłość lubi się czubić! — Wołają na siebie wzajem: „Ty parasolniku”, „ty biskupie”, ale to wszystko żarty. „Parasolnik”, to nazwa żołnierzy pierwszej brygady, przedwojennych strzelców; „biskup”, to znów trzeciej brygady — gdyż mają czapki, jak infuły biskupie! Nas znów „oddaj rum” — toć to wszystko przecież żarty — a nic innego, najlepszy dowód, że żyjemy przytem na linii w zupełnej zgodzie!...

— E, nie o tem mówię, cholera! — odparł kucharz, zniechęcony, że pojąć go nie mogą i umilkł, układając się na deskach.

Wypowiedział swój artykuł wstępny pogadanki wieczornej, zakończył sakramentalnem słowem „cholera” i zamikł, obojętny na dalszą dyskusję słuchaczy, komentujących jego zdania i słowa. — Rzucił słowa, jak dziennik we wstępnym artykule, nie troszcząc się, jaki ferment wprowadzą one wśród czy-

telników, z dyskusji przygotowując materiał na następny numer — pogadanki wieczornej...

„Meldereiter” batalionu z miną sprawozdawcy komunikatów wojennych urzędowych biur głosił:

„Popołudniu podeszła silna patrol rosyjska pod trzeci batalion trzeciego pułku, zabrała telefonistę do niewoli, natrafiwszy na naszą patrol, rozpoczęła strzelać. Kilku było rannych, jeden z Legionistów, dostawszy się do niewoli, prowadzony przez sześciu Moskali, którzy mu broni nie odebrali, nagłym rzutem kolbą karabinu zabił Moskala i rzucił się do ucieczki. Moskale poczęli za nim strzelać — jednakże udało mu się ucieść niewoli i do swoich wrócić”.

Jednakże „meldereiter” dostaje nagane, gdyż o tym wypadku już wiedzą, a następnie sprawa przedstawiała się trochę inaczej, przeszedłszy przez kilka ust komunikatów wyrosła i rozfantazyonowała się. Nacierają mu uszu, robiąc poprawkę komunikatu, zmienionego tylko co do tego jednego, który zdołał ucieść!

„Patrol rosyjska, cofając się — niestrudzony „meldereiter” mówi dalej — zapowiedziała na dzień jutrzejszy ofensywę na naszym froncie”.

— Mówili to już ze trzydzieści razy ich koledzy, dostawszy się do niewoli — dają się słyszeć głosy drwiące, które jednakże nie wyprowadzają niestrudzonego sprawozdawcę z równowagi, sądzi, że przecież rzuci choć jeden komunikat, za który zyska pochwałę i uznanie! Głosi przeto dalej:

„Podczas wczorajszego bombardowania W., którego byliście świadkami, zabity został jeden z treniarzy, jadąc do pułku”...

— Wiemy już, wiemy — przerywają mu głosy, które rubasnością zbijają go z tropu i ucicha, siadając przy piecyku. Ustąpił mównicy dalszym. — Usiadł z miną kiepskiego i przestarzałego komunikatu, umieszczonego w dzienniku pod świeżą datą. Koledzy przyjęli go, jak takiż komunikat — wobec czego dziennik jego traci na popularności i wzięciu...

Feljeton opowiada dzieciak, któremu młodzieńczy puch dopiero przy kuchni się pokazał, gdy sadze go cośkolwiek lekko przyparowały i o iskrzących oczach awanturniczych, oczach dziecka-śmiałka, które jeszcze nie pojmuje zgrozy śmierci i wartości życia i przez to je często niepotrzebnie naraża. Lśni mu się oczy do tych „szopek”, które go w oczach wszystkich kolegów podnoszą i gotów głowę do armaty wsadzić, byle tylko widzieli koledzy. Nie zdaje mu się nigdy, że każda taka błahostka życie go może kosztować.

Opowiada o zakładach... Kto w rowie lub okopie podczas gradu kul wytrzyma stać umówionych parę minut, wygrywa zakład. Sam parę razy wygrał i gotów się zawsze zakładać — jednakże przez komendę zostało to zakazane, wobec czego z żalem